

SERIAL DOSTĘPNY W **HBO GO**

SZUKAJĄC ALASKI

**JOHN
GREEN**

BUKOWY LAS

SZUKAJĄC ALASKI

JOHN GREEN

SZUKAJĄC ALASKI

przełożyła

Anna Sak

BUKOWY  LAS

Książka ta jest fikcją literacką, podobnie jak wszystkie opisane w niej postaci, miejsca i wydarzenia. Wszyscy jej bohaterowie są wytworem wyobraźni autora. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych zdarzeń, firm, miejsc oraz osób, żywych bądź zmarłych, jest całkowicie przypadkowe.

TYTUŁ ORYGINAŁU: *Looking for Alaska*

Copyright © 2005 by John Green

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

This edition published by arrangement with Dutton Children's Books, an imprint of Penguin Young Readers Group, a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the Polish translation by Anna Sak and Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2013

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2013

ISBN 978-83-8074-250-5

FOTOGRAFIE NA OKŁADCE: © 2019 by Hulu, LLC.

“Hulu” is a trademark of Hulu, LLC. All rights reserved.

KOREKTA: Lidia Szagdaj, Urszula Włodarska

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.
ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław
www.bukowylas.pl

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki,
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl, www.dressler.com.pl



DRUK I OPRAWA: Druk-Intro S.A.

*Mojej rodzinie:
Sidneyowi, Mike'owi i Hankowi Greenom*

*„Z całej siły starałem się czynić dobrze”
– ostatnie słowa prezydenta Gwerya Clevelanda*

Przed

(136 dni PRZED)

Na tydzień przed tym jak opuściłem moją rodzinę, Florydę i całą resztę swojego niedojrzałego życia, by wyruszyć do szkoły z internatem w Alabamie, moja matka uparła się, aby wydać przyjęcie pożegnalne. Gdybym powiedział, że miałem niewygodne oczekiwania, byłoby to dramatyczne niedomówienie. Zostałem w zasadzie zmuszony do tego, by zaprosić wszystkich moich „szkolnych przyjaciół”, to znaczy łachmaniarską bandę z kółka teatralnego i typków z angielskiego, z którymi przesiadywałem z towarzyskiej konieczności w zapadłych lochach szkolnej kafeterii, choć wiedziałem, że nie przyjdą. Mimo to matka obstawała przy swoim, trwając w błogich złudzeniach, że przez te wszystkie lata ukrywałem przed nią swoją popularność. Przygotowała mnóstwo dipu z karczochów. Przyozdobiła nasz salon zielonymi i żółtymi serpentynami, w barwach mojej nowej szkoły. Kupiła dwa tuziny butelek szampana z korkiem i ustawiła je dookoła stolika kawowego.

A kiedy nadszedł ten ostatni piątek i byłem prawie spakowany, o 16.56 usiadła ze mną i tatą na kanapie i cierpliwie oczekiwała przybycia kawalerii pod wezwaniem „Do widzenia, Milesie”. Wspomniana kawaleria składała się

z dwojga ludzi: Marie Lawson, drobnej blondynki w prostokątnych okularach, i jej pulchnego (łagodnie mówiąc) chłopaka, Willa.

– Hej, Miles – powiedziała Marie, sadowiac się na kanapie.

– Hej – odpowiedziałem.

– Jak ci minęło lato? – zapytał Will.

– W porządku. A tobie?

– Nieźle. Wystawialiśmy *Jesus Christ Superstar*. Pomagałem przy scenografii. Marie robiła światła – powiedział Will.

– Super. – Skinałem, udając, że wiem, o co chodzi, i to właściwie wyczerpało nasz zestaw tematów do konwersacji. Mogłem zadać pytanie o *Jesus Christ Superstar*, tylko że: 1. nie wiedziałem, co to jest, 2. nie chciałem wiedzieć, i 3. nigdy nie byłem mocny w towarzyskich pogawędkach. Moja mama – w przeciwieństwie do mnie – potrafi godzinami zabawiać gości rozmową i tak oto przyczyniła się do przedłużenia niezręcznej sytuacji, pytając ich o plan prób, jak wyszło przedstawienie i czy okazało się sukcesem.

– Wydaje mi się, że tak – przyznała Marie. – Przyszło dużo ludzi. Tak mi się wydaje.

Marie była typem osoby, której ciągle się coś wydaje.

W końcu odezwał się Will:

– No cóż, wpadliśmy tylko, żeby się pożegnać. Muszę odprowadzić Marie do domu przed szóstą. Baw się dobrze w nowej szkole, Miles.

– Dzięki – odparłem z ulgą. Jediną rzeczą gorszą od przyjęcia, na którym nie ma nikogo, jest przyjęcie, na które przyszło dwoje strasznie, kompletnie nieinteresujących ludzi.

Wyszli – i tak oto siedziałem z rodzicami, gapiąc się w pusty ekran telewizora. Chciałem go włączyć, ale wiedziałem, że nie powinienem. Czułem na sobie spojrzenia ich obojga, jak czekali, aż wybuchnę płaczem albo coś w tym stylu, jakbym od samego początku nie wiedział, że tak wyjdzie. W i e d z i a ł e m. Czułem ich litość, kiedy zanurzali chipsy w dipie karczochowym przeznaczonym dla moich wyimaginowanych przyjaciół, ale to im potrzebna była litość, w każdym razie bardziej niż mnie; ja nie byłem rozczarowany. Moim oczekiwaniom stało się zadość.

– To dlatego chcesz wyjechać, Miles? – zapytała mama.

Przez chwilę obracałem w myślach to pytanie, patrząc wszędzie, tylko nie na nią.

– Yyy... nie – wyjąkałem.

– No to dlaczego? – dopytywała. Nie pierwszy raz zadała mi to pytanie. Mama niespecjalnie pragnęła puścić mnie do szkoły z internatem i nie robiła z tego tajemnicy.

– Przeze mnie? – podsunął tata. Chodził do Culver Creek, tej samej szkoły, do której się wybierałem, tak jak obydwa jego bracia i ich wszystkie dzieci. Myślę, że podobał mu się pomysł, abym poszedł w jego ślady. Moi wujowie opowiadali historie o tym, jak ojciec sływał w kampusie z szaleńczych eskapad, które wszelako nie przeszkadzały mu osiągać świetnych wyników w nauce. Wydawało się, że życie w Culver Creek będzie lepsze od tego tutaj, na Florydzie. Ale nie, to nie z powodu taty. Niezupełnie.

– Chwileczkę – powiedziałem. Poszedłem do gabinetu ojca i znalazłem biografię François Rabelais'go. Lubiłem

czytać biografie pisarzy, nawet jeśli (jak w wypadku pana Rabelais'go) nigdy nie czytałem żadnych ich książek. Przewertowałem książkę i znalazłem na końcu podkreślony odblaskowym markerem cytat („NIGDY NIE UŻYWAJ MARKERA W MOICH KSIĄŻKACH” – powtarzał mi ojciec tysiące razy. No to jak inaczej potem znaleźć to, czego szukasz?).

– Więc ten facet – powiedziałem, stojąc w drzwiach salonu – François Rabelais. Był poetą. A jego ostatnie słowa to „**Udaję się na poszukiwanie Wielkiego Być Może**”. Dlatego wyjeżdżam. Żebym nie musiał czekać z poszukiwaniem Wielkiego Być Może do śmierci.

To ich uspokoiło. Goniłem za Wielkim Być Może i oni wiedzieli równie dobrze jak ja, że nie znajdę go z ludźmi pokroju Willa i Marie. Usiadłem z powrotem na kanapie, między mamą i tatą, tata otoczył mnie ramieniem i trwaliśmy tak w ciszy długi czas, aż do chwili, kiedy wyglądało na to, że można już włączyć telewizor, a potem zjedliśmy dip karczochowy na kolację i obejrzelśmy kanał historyczny, ale przecież bywają znacznie gorsze pożegnalne przyjęcia.

(128 dni PRZĘD)

Na Florydzie było piekielnie gorąco, to oczywiste, a ponadto wilgotno. Tak gorąco, że ciuchy kleiły się do ciebie jak plaster, a pot kapał ci z czoła na policzki jak łzy. Ale gorąco było tylko na dworze, a ja z reguły wychodzi-

łem na dwór tylko po to, by przejść z jednego klimatyzowanego pomieszczenia do drugiego.

Dlatego nie byłem przygotowany na jedyny w swoim rodzaju upał, którego można doświadczyć piętnaście mil na południe od Birmingham w Alabamie, w Szkole Przygotowawczej Culver Creek. Bryka rodziców była zaparkowana na trawie, kilka stóp od mojego pokoju, pokoju numer 43. Ale za każdym razem, kiedy pokonywałem te kilka kroków do i z samochodu, żeby wypakować to, co teraz wyglądało mi na stanowczo za dużo rzeczy, słońce przepalało mi ubranie aż do skóry z zawistną wściekłością, której zacząłem się bać niczym zapowiedzi ognia piekielnego.

Przeniesienie rzeczy z samochodu zabrało nam tylko kilka minut, ale mój nieklimatyzowany pokój internatowy, choć, dzięki Bogu, nie w pełnym słońcu, był w sumie niewiele chłodniejszy. Byłem zaskoczony: wyobrażałem sobie pluszowy dywan, boazerię na ścianach i wiktoriańskie meble. Poza jedyną atrakcją – własną łazienką – dostałem pudełko ze ścianami z pustaków pokrytymi grubo warstwami białej farby i z podłogą wyłożoną zielono-białym linoleum. To miejsce przypominało bardziej szpital niż pokój w internacie z moich marzeń. Piętrowe łóżko z niewykończonego drewna, z materacami z gąbki, stało przy oknie. Biurka, szafki i półki na książki były na stałe przymocowane do ścian, co miało zapobiec kreatywnemu planowaniu przestrzeni. No i brak klimatyzaacji.

Siedziałem na dolnym łóżku, kiedy mama otworzyła walizkę, wyjęła z niej stos biografii, z którymi tata zgodził się rozstać, i zaczęła układać je na regałach.

– Potrafię się rozpakować, mam – powiedziałem. Tata wstał. Był gotów do odjazdu.

– Daj przynajmniej posłać ci łóżko – upierała się mama. Nie, naprawdę. Umieję to zrobić. W porządku.

Bo nie można przeciągać tych spraw w nieskończoność. W którymś momencie po prostu pociągasz za plaster i boli, ale za chwilę jest już po wszystkim i czujesz ulgę.

– Mój Boże, ale będziemy tęsknić – westchnęła mama, przeskakując między walizkami, żeby dostać się do łóżka. Wstałem i uściskałem ją. Tata też podszedł i stworzyliśmy swego rodzaju stadko.

Było za gorąco i byliśmy zbyt spoceni, aby uściski mogły trwać długo. Wiedziałem, że powinienem uronić parę łez, ale mieszkałem z rodzicami już szesnaście lat i próbna separacja powinna była nastąpić już dawno.

– Luzik – uśmiechnąłem się. – Nauczę się godać po południowemu.

Mama zaśmiała się.

– Tylko nie zrób jakiegoś głupstwa – przestrzegł mnie tata.

– Spoko.

Żadnych narkotyków. Żadnego picia. Żadnych papierosów.

Jako uczeń Culver Creek robił rzeczy, które znałem tylko ze słyszenia: tajne przyjęcia, biegi na golasa przez pola z sianem (zawsze jęczał, jak to wtedy brakowało dziewczyn), dragi, picie i fajki. Rzucenie palenia zajęło mu trochę czasu, ale jego durne lata minęły na dobre.

– Kocham cię – wypalili jednocześnie. Należało to powiedzieć, ale przy tych słowach poczułem się tak niezręcznie, jakbym patrzył na całujących się babcię i dziadka.

– Ja was też. Będę dzwonił co niedziela. – Nasze pokoje nie miały telefonów, ale rodzice wystąpili z prośbą, aby umieszczono mnie w pokoju w pobliżu jednego z pięciu automatów, jakie posiadało Culver Creek.

Uściskali mnie znowu – mama, potem tata – i było po wszystkim. Patrzyłem przez okno, jak wyjeżdżają z kampusu krętą drogą. Powinienem może poczuć lepki, sentymentalny smutek. Ale przede wszystkim chciałem po prostu ochłonać, więc zabrałem jedno z krzeseł i usiadłem przed drzwiami w cieniu okapu, czekając na wiatr, który nie przychodził. Powietrze na zewnątrz było tak samo nieruchome i męczące, jak powietrze w środku. Ogarnąłem wzrokiem swój nowy internat: sześć jednopiętrowych budynków, po szesnaście pokoi w każdym, układało się w sześciokąt dookoła rozległego trawiastego okręgu. Wyglądał jak przerośnięty stary motel. Wszędzie chodzili chłopcy z dziewczynami, śmiejąc się i ściskając. Miałem nikłą nadzieję, że ktoś podejdzie i porozmawia ze mną. Wyobraziłem sobie konwersację:

– Hej. To twój pierwszy rok?

– Zgadza się. Jestem z Florydy.

– Super. To pewnie jesteś przyzwyczajony do upału.

– Do tego upału nie byłbym przyzwyczajony nawet wówczas, gdybym był z Hadesu – zażartowałbym. Zrobiłbym dobre wrażenie zaraz na starcie. „Jest zabawny. Ten facet Miles jest przezabawny”.

To oczywiście się nie wydarzyło. Nic nigdy nie działo się tak, jak to sobie wyobrażałem.

Znudzony, wszedłem z powrotem do środka, zdjąłem koszulę, położyłem się na rozgrzanej od upału gąbce materaca z dolnego łóżka i zamknąłem oczy. Nigdy nie doświadczyłem powtórnych narodzin przez chrzest, z płaczem itp., ale nie mogłem czuć się lepiej niż teraz, nowo narodzony facet z jego nieznaną tu nikomu przeszłością. Myślałem o ludziach znanych mi z książek – Johnie F. Kennedym, Jamesie Joysie, Humphreyu Bogarcie – którzy chodzili do szkół z internatami, i ich przygodach. Kennedy na przykład uwielbiał odstawiać numery. Pomyślałem o Wielkim Być Może i o tym, co się może zdarzyć, o ludziach, których mogę spotkać, i o tym, kim okaże się mój współlokator (kilka tygodni wcześniej dostałem list, w którym podano mi jego nazwisko, Chip Martin, ale żadnych dalszych informacji). Kimkolwiek był Chip Martin, pokładałem w Bogu nadzieję, że przywiezie ze sobą kilka superwentylatorów, bo ja nie zapakowałem do swoich walizek ani jednego, i już czułem, jak na materacu zbiera się kałuża mojego potu, co mnie tak zniesmaczyło, że przestałem się nad sobą roztkliwiać i ruszyłem tyłek, żeby znaleźć jakiś ręcznik do wytarcia mokrej plamy. A następnie pomyślałem: „Cóż, przed przygodą rozpakowywanie”.

Udało mi się przykleić na ścianie mapę świata i schować większość ciuchów do szuflad, gdy zauważyłem, że od gorącego, wilgotnego powietrza pocą się nawet ściany, i zdecydowałem, że nie czas teraz na pracę fizyczną. Czas na wspaniale zimny prysznic.

W małej łazience za drzwiami było olbrzymie, pełnowymiarowe lustro, więc nie mogłem nie zobaczyć siebie nagiego w lustrze, gdy pochylałem się, żeby odkręcić wodę. Zawsze dziwiło mnie to, jaki jestem chudy: ręce niewiele grubsze w ramionach niż w nadgarstkach, na kłacie ani śladu tłuszczu czy mięśni, i zastanawiałem się z zażenowaniem, czy nie można czegoś zrobić z tym lustrem. Odstłoniłem nie najpiękniejszą białą zasłonkę i wsunąłem się do kabiny.

Na nieszczęście, prysznic wydawał się zaprojektowany dla kogoś o wzroście w przybliżeniu stu dwudziestu centymetrów, więc zimna woda uderzyła mnie w dolne żebra – z całą mocą kapiącego kranu. Aby zmoczyć swoją spoconą twarz, musiałem rozstawić nogi i przykucnąć. Z pewnością John F. Kennedy (który miał, według biografy, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, czyli dokładnie tyle co ja) nie musiał kucać w swoim internacie. Nie, to była zupełnie inna bestia, i gdy kapiący prysznic powoli zraszał moje ciało, zastanawiałem się, czy znajdę tu w ogóle Wielkie Być Może, czy też grubo się przeliczyłem.

Kiedy otwarłem drzwi łazienki, mając na sobie tylko ręcznik, którym owinałem biodra, zobaczyłem w drzwiach niskiego, muskularnego faceta z burzą ciemnych włosów. Włókł za sobą gigantyczny worek w kolorze khaki. Miał metr pięćdziesiąt i ani centymetra więcej, ale był dobrze zbudowany, niczym model Adonisa w skali. Ciągnął się za nim smród zatęchłego dymu papierosowego. „Świetnie”, pomyślałem sobie. „Przyjmuję mojego współlokatora w negliżu”. Wtaszczył worek do pokoju, zamknął drzwi i podszedł do mnie.

– Jestem Chip Martin – ogłosił głębokim głosem radiowego didżeja. Zanim zdołałem odpowiedzieć, dodał: – Uściskałbym ci rękę, ale zdaje się, że musisz cholernie mocno przytrzymywać ten ręcznik, dopóki nie znajdziesz sobie jakichś ciuchów.

Zaśmiałem się i skinąłem głową (to jest cool, nie?, znaczy się skinięcie), i powiedziałem:

– Miles Halter. Miło mi.

– Mil-es, tak jak w „i wiele mi l od snu mnie dzieli”^{*}? – zapytał mnie.

– Że co?

– To wiersz Roberta Frosta. Nie czytałeś?

Potrząsałem głową. Nie.

– No to szczęściarz z ciebie – uśmiechnął się.

Zabrałem jakąś czystą bieliznę, niebieskie szorty Adidas do gry w nogę i biały T-shirt, wymamrotałem, że wrócę za sekundę, i zamknąłem się w łazience. To tyle, jeśli chodzi o dobre pierwsze wrażenie.

– Gdzie są twoi rodzice? – zapytałem z łazienki.

– Rodzice? Ojciec jest w tej chwili w Kalifornii. Pewnie siedzi w markowym fotelu. Albo prowadzi pikapa. Tak czy inaczej, pije. Matka właśnie prawdopodobnie wyjeżdża z kampusu.

– O – powiedziałem już ubrany, niepewny, jak zareagować na tak osobiste informacje. Chyba nie powinienem był pytać, skoro wolałem nie wiedzieć.

Chip chwycił prześcieradło i rzucił je na górne łóżko.

^{*} Robert Frost, *55 wierszy*, tłum. Stanisław Barańczak, Kraków 1992, s. 121.

– Jestem człowiekiem z góry. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Yyy, nie. Tak czy tak, będzie dobrze.

– Widzę, że zdążyłeś już walnąć parę dekoracji – powiedział, wskazując na mapę świata. – Spoko.

A potem zaczął wymieniać nazwy krajów. Mówił monotonnie, jakby robił to już wcześniej tysiąc razy.

Afganistan.

Albania.

Algieria.

Amerykańskie Samoa.

Andora.

I tak dalej. Zdążył przebrnąć przez „A”, kiedy podniósł wzrok i zauważył, że gapię się na niego z niedowierzaniem.

– Mógłbym wyrecytować resztę, ale zanudziłbyś się na śmierć. Nauczyłem się tego w lecie. Boże, nie masz pojęcia jak nudno jest w New Hope w Alabamie w środku lata. Największa rozrywka to przyglądanie się, jak rośnie soja. A tak w ogóle, skąd jesteś?

– Z Florydy – uściśliłem.

– Nie byłem.

– To niesamowite, znaczy te kraje – powiedziałem.

– Każdy ma jakiś talent. Ja potrafię zapamiętywać różne rzeczy. A ty?

– Znam ostatnie słowa sławnych ludzi. Uczenie się ostatnich słów było moją przyjemnością. Inni mieli swoją czekoladę, ja miałem przedśmiertne deklaracje.

– Na przykład?

– Lubię ostatnie słowa Henryka Ibsena. Był dramaturgiem.

Wiedziałem dużo o Ibsenie, ale nigdy nie przeczytałem żadnej z jego sztuk. Nie lubiłem czytać dramatów. Lubiłem czytać biografie.

– Jasne, wiem, kim on był – powiedział Chip.

– No więc, od pewnego czasu był chory i pielęgniarka powiedziała do niego: „Wygląda na to, że dziś czuje się pan o wiele lepiej”, a Ibsen popatrzył na nią i powiedział: „**Wprost przeciwnie**” – i umarł.

Chip wybuchnął śmiechem.

– Makabryczne. Ale podoba mi się.

Powiedział mi, że to jego trzeci rok w Culver Creek. Przyszedł tutaj w dziewiątej klasie, na początku szkoły średniej, i był teraz w jedenastej, tak jak ja. Stypendysta, jak powiedział. Pełna jazda. Słyszał, że to najlepsza szkoła w Alabamie, więc napisał w podaniu, jak bardzo chciałby chodzić do szkoły, gdzie mógłby czytać grube książki. Problem w tym, pisał dalej, że w domu tata zawsze walił go książkami po głowie, więc Chip dla własnego bezpieczeństwa trzymał tylko cienkie książki w miękkiej oprawie. Jego rodzice rozwiedli się, kiedy był w drugiej klasie. Lubił „Creek”, jak nazywał szkołę, ale ostrzegł mnie: „Musisz tutaj uważać na uczniów i na nauczycieli. A ja nie cierpię uważać” – uśmiechnął się znacząco. I ja nie cierpialem uważać – albo przynajmniej chciałem nie cierpieć.

Powiedział mi to, kopiąc w swoim worku i wrzucając ubrania do szuflad z wielkim zapałem. Chip nie wierzył w posiadanie „szuflady na skarpety” albo „szuflady

na T-shirty”. Wierzył w równouprawnienie wszystkich szuflad i wypełniał je tym, co popadło. Moja matka dostałaby zawału.

Kiedy tylko skończył się „rozpakowywać”, walnął mnie zdrowo w ramię i powiedział:

– Mam nadzieję, że jesteś silniejszy, niż na to wyglądasz – a potem wyszedł, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Po kilku sekundach pojawiła się w nich jego głowa. Zobaczył, że stoję w bezruchu:

– No chodź, wiele-Mil-esie Halterze. Mamy kupę spraw do załatwienia.

Polub nas
na Facebooku 

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

SZUKAJĄC ALASKI

Bestseller „New York Timesa” i „USA Today”
Laureatka licznych nagród, w tym Michael L. Printz Award
Jedna ze 100 najlepszych powieści YA wg magazynu „Time”

PIERWSZY ALKOHOL. PIERWSZY WYBRYK.
PIERWSZY PRZYJACIEL. PIERWSZA MIŁOŚĆ.

OSTATNIE SŁOWA

Miles Halter jest zafascynowany ostatnimi słowami sławnych ludzi i zmęczony swoim nudnym życiem w domu. Wyjeżdża do szkoły średniej z internatem, by odnaleźć to, co poeta François Rabelais nazwał Wielkim Być Może, intensywnie doświadczyć rzeczywistości, poznać siebie i sens życia.

Wiele czeka na Milesa w Culver Creek, nowi nauczyciele i koledzy, a wśród nich niezwykła pod każdym względem dziewczyna, Alaska Young, która szybko wciąga Milesa w swój niepokojący świat. W miarę poznawania Alaski i zakochiwania się w niej Miles przekona się, że jej życie nie jest takie wspaniałe, jak mu się wydawało.

Dowie się, co to jest przyjaźń i miłość, doświadczy prawdziwych, zarówno pięknych, jak i bolesnych uczuć.



fot. Marina Waters

JOHN GREEN jest autorem bestsellerów *Gwiazd naszych win*, *Papierowe miasta* (obie powieści zostały sfilmowane), *19 razy Katherine*, *Will Grayson*, *Will Grayson* (z Davidem Levithanem) oraz *Żółwie aż do końca*. Otrzymał wiele nagród literackich i należy do grona 100 najbardziej wpływowych osób świata z listy „Time'a”. Wraz z bratem Hankiem prowadzi niezwykle popularny wideoblog Vlogbrothers i kanał edukacyjny Crash Course. Mieszka z rodziną w Indianapolis.

ISBN 978-83-8074-250-5



9 788380 742505

Cena 34,90 zł
(w tym VAT)

www.bukowylas.pl

Polub nas
na Facebooku

